

AMELIA SAWA

ur. 1925; Siedliszcze



Miejsce i czas wydarzeń	Winnica, II wojna światowa
Słowa kluczowe	II wojna światowa, Winnica Oblast, szkoła, koleżanki ze szkoły

Szkoła w obwodzie winnickim

Poszłam do szkoły, przyszłam do klasy. Ja po klasie pani Arciszowej, wytworne dywany miękkie, purpurowe, warunki, panienki, proszę bardzo. A tu coś nowego. Wprawdzie nie miałam wielu rzeczy ze sobą, ale ponieważ zbliżał się rok szkolny, mama mi kupiła nową teczkę, bo się wtedy z teczką chodziło. Ze skóry miałam elegancką teczkę. I te wszystkie przybory mi mama kupiła i ja z tym jechałam, bo to dla mnie było najważniejsze. I tam miałam takie notesiki, to miałam kupione, to z jakiejś okazji dostałam wieczne pióro złote. Także miałam takie jeszcze autentyczne, dobre rzeczy. I miałam jeszcze sukienkę, którą mi mama uszyła, jak będzie jakaś uroczystość w szkole, to mogłam się ubrać w taką sukienkę. Granatowa, bardzo ładnie była uszyta, z pięknej wełny. A z gipiury były takie kołnierzyki i mankieciki koloru morelowego do granatu. Bardzo pięknie to wyglądało. No i w szkole to było dla mnie trudne, bo tak: nie znałam języka, nie miałam zeszytów. Inni też nie mieli, ale sobie radzili, bo mieli tą gazetę, „Prawda” chyba. Była ogromna, nie taka zwyczajna, jak my mamy, tylko to była taka ogromniasta. I te dzieci nie miały zeszytów autentycznie. I pisały piórem takim przyczepionym do patyka, drutem albo nitkami, maczanymi w kałamarzu. I pisały na tej gazecie lekcję. No a dla mnie to było niesamowite, bo nie znałam języka i nigdy nie pisałam na gazecie. I nie mogłam sobie z tym poradzić po prostu, nie nadażałam. Trudne to było dla mnie. Tematy były zupełnie inne, inna historia, inne pismo. To było dla mnie makabryczne wszystko. Za dużo, nie mogłam sobie poradzić i nie miałam na to czasu, żeby się tego nauczyć. Musiałam w to wejść i natychmiast już pytano mnie, a ja niewiele wiedziałam. Wszystko trzeba było samemu działać, tak, żeby coś skorzystać. No i był tam właśnie jeden ciekawy profesor, który mnie uczył angielskiego. A ja uczyłam się u pani Arciszowej francuskiego. I znowu angielski dla mnie, no ciężka doła była moja. I ten profesor zupełnie inaczej wyglądał niż oni wszyscy. Ubrany był skromnie, ale jego twarz była pełna szlachetności, elegancji. Ja nie mogłam zrozumieć, skąd on się tam wziął. A nazywał się Kaban. A słowo kaban znaczy świnia. I ja nie mogłam tego też

strawić. A oni to normalnie wszystko traktowali, dla nich nic nie było dziwne. Od dawna był ten Kaban i koniec. Wygląd jego nie pasował do tej reszty, ale nazwisko nie wiem, skąd mu wyrosło. I ten pan podobał mi się bardzo. Zaskoczona byłam nim na tle tej reszty. To był jakiś wyjątkowy człowiek. Skąd on się tam wziął, to nie wiem. No i ja też mówiłam, że ja się uczyłam francuskiego i „*Je ne pas*” – mówię. Nie *english*. Wszystko było dla mnie trudne, nowe, zaskakujące, trudne do przeżycia właściwie. To była jakaś bohaterskość ciała i duszy. I tak to trwało. Dzieci były ogromnie mną zainteresowane, bo to z innego państwa koleżanka przyjechała. I zawsze tak były bardzo dla mnie miłe, bardzo grzeczne i takie delikatne. No i zawsze pytały, czy ja czegoś nie potrzebuję. Ja dużo potrzebowałam, ale one nie miały nic z tego. A potem zaczęły mnie zapraszać do swoich domów. A ja chodziłam. No więc te domy były, jak opowiadałam, takimi lepiankami. Rodzice kolegów byli zaskoczeni, że ja ich odwiedzam, taka z obcej krainy dziewczyna. Zadawali mi różne pytania. Nie mieli mnie czym poczęstować, ale zawsze poczęstowali tym, co mieli. Przeważnie były to kiszone jabłka, kiszone ogórki i kiszone pomidory. Ani jednego, ani drugiego nigdy nie jadłam, bo u nas się nie je kiszonych jabłek. Tam to było. I uważam, że to dla nich była wielka dobroć. Oni nie mieli może nawet takiej świadomości, ale to były warzywa, które były cenne dla nich. Poza tym jabłko kiszone to tak jak ocet jabłkowy, lecznicze. Ogórek też ich pobudzał do jedzenia, apetytu. I ten pomidor zaopatrywał ich w potas. Ja wtedy też tego nie wiedziałam, dopiero tak potem sobie to wykombinowałam, że to nie było takie złe w ich sytuacji. Nosili za to pełne kieszenie ziaren ze słonecznika i z dyni. I oni wszędzie, no w szkole na lekcji tego nie jadły, ale na przerwie już tak. Rzucił, ololololo w buzi i już splunął. I ja tak nie potrafiłam, jak one to robiły. Ale to było dla nich zbawienne, bo cenne dla organizmu przy tej strasznej biedzie. Bo tam mieli wyliczone kromeczki chleba. Nam się też potem to należało, więc kupowaliśmy po kromce dla każdego, kawałek chleba tylko, na cały dzień. Mamie udało się kupić kilogram kaszy jaglanej, której ja nie znoszę. A mama nie mogła więcej, tylko najwyżej dwie łyżki ugotować, bo to musiało na dłużej wystarczyć. Więc przeżyliśmy piekło właściwie. No ale podwiedzałam domy tych moich koleżanek. One były szczęśliwe, bardzo mnie polubiły. No więc ja im pokazywałam wieczne pióro. Ja mówię: „U nas to nie takie, to takie mam”. Miałam takie notesiki eleganckie, kolorowe. „Oj to tak, ojej, jakie *krasiwe!*” [ros. красивый – „piękny”, przyp. red.]. No wszystko ich zachwycało, co ja miałam.

Data i miejsce nagrania	2016-02-01, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Natalia Boczek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"